

Przick



— Jaśku, Jaśku, czemu jedziesz?
Czy mi aby wierny bedziesz?
— Boś to jedna? Jest i druga, —
co ślepiani na mnie mruga.
— Wspomnij noce, wspomnij ranki
nie nańdiesz takiej kochanki.

— Halel ot, głupia dziewuchal
Od tamtej tyz gorąc bucha.
— Ady wszystko u mnie miałeś
dawałam, co ino chciałeś.
— Byłaś mi, Jaguś, najśłodsza,
lecz nie dałaś, czego potrza.

— A ta druga, myślisz, da ci?
Może złem za dobre płaci?
— Chociaż zmoże, chociaż znęka
Niech tal
— Kto ona?
— Wojenka!

M A T K A I S Y N.

Matka.

Więc idziesz? już tak prędko... Synu!

Syn.

Matko! szybkiego trzeba czynu
Czynu, jak piorun, jako grom...
Idę ratować ojców dom
Idę by bronić naszej ziemi
Rękami może i słabemi,
Lecz które zdławia przemoc wroga...
To dziś jedyna dla nas droga
I wszyscy muszą po niej iść...
Zdepchemy przemoc, gdyby liść
I odrzucimy precz te hordy,
Co niosą ogień, gwałt i mordy
W spokojny, cichy, jasny kraj...
Zwycięstwo — nasz!

Matka.

...Boże daj!
O Synu! dziad twój z pod Grochowa
Wrócił bez ręki w dom ojczysty.
Ojciec twój w tundrze zmarł lesistej
Zagnany w obce, wraże strony —
Z klątwą na ustach zmarł, z nakazem,
Byśmy tu trwali wszyscy, razem,
Z sercem, dyszącem zemsty żądzą,
Z duszą, co miała moc kamienną
Z wiarą, że nigdy nie pobłądzą
Ci, co wpatrzeni w jutra zorze,
W nadzieję świtu przepromienną
Królestwo chcą tu wskrzesić Boże.
A jeśli walczą o nie mieczem,
Tak, jak i słowem, od stu lat
To na to, by zrozumiał świat,
Że my się Polski nie wyrzeczemy,
I tak jak dzisiaj nie ucieczemy
Przed wrogiem z naszych drogich chat!

Syn...

Matko, lecz gdy się front przybliży,
Gdy tu podejdzie podły wróg

Matka.

Z nami Bóg!
Nas bliskość frontu nie przeraża...
Tu jednolity tworzym front!
Aż pierzchnie wreszcie siła wraza,
Pod którą pali się już lont —
Walczyć będziemy do ostatka
Z zapalem, który w sercu tli!
Póki ojczyzna, nasza Matka
Będzie ofiary żądać z krwi!
O każdy dom, o każdą bramę
Będziemy toczyć wściekły bój!
Żywą napotka w drodze tamę
Wróg i grób tutaj znajdzie swój!

Syn.

Matko! już muszę iść...
Bądź zdrowa!

Matka.

Idź, jako ojce poszli twoi,
Z wiarą, bez zwątpień, bez rozpacz.
Matka ci drogę krzyżem znaczy,
Młodości błogosławi twojej.
I modlić się za ciebie będzie!
Idź! walcz i wytrwaj zawsze, wszędzie!
Bo ci jednego nie przebaczy
Ani ja, matka, ni Ojczyzna,
Gdybyś się uląkł, synu, wroga
Gdyby wstecz poszła twoja nogą!
Gdybyś miał chyłkiem ująć z tej bitwy!
Idź! na śmiertelne te gonitwy
Wzywa cię ziemia nasza żywna
Dziś strątowana i zniszczona!
Przedemną — matką ci jest Ona!
Idź! niech cię wiodą me modlitwy!

TEKA.

M A Z U R N A P O S T O J U.

Rozegrały się skrzypczki
Roześmiały się dziewczeczki —
Idą pary w tan.

A kapela rżnie ogniście,
Suną pary zamazyście
Niczem wicher przez łąn.

Z amarantu lśnią wyłogi,
Lekko dzwonią wkrąg ostrogi,
Wokół tuman-kurzi!

Kraśna Maryś z przemęczenia
Zwisa prawie u ramienia...
Ułan, puscaj już!

Ja nie puszczę cię, dziewczyno,
Gdy mazura dźwięki płyną —
Tańcz, choć braknie sił!

Dzisiaj tańczę. Jutro może
Hen na polu kości złożę
I nie będę żył.

Suną pary za parami,
Świt rysuje za oknami
Cienie drzew i chat.

Stał w progu dziaduś stary
I nie daje oczom wiary —
Sen to dawnych lat?

Kapr. JULJUSZ DAR.

Z ROZMOW TELEFONERA.

1



— Słuchaj, Telefoner, jeżeli chcemy zatoczyć działo na pozycję, to jaką komendę wydać należy, gdy działo to jest połączone z półwoziem?

— Odprzodkować, panie ogniomistrz?

— Dobrze. A jaka będzie komenda przeciwna?

— Uj! Pan jest bardzo nieprzystwoity, panie ogniomistrz...

— Telefoner, czemuś ty w poniedziałek nie był na ćwiczeniach?

— W poniedziałek? W poniedziałek to ja pomagałem w kancelarii przenosić papiery.

— A we wtorek?

— We wtorek były ymynyny mojej żony, to mnie pan szerszant zwolnił.

— Ale i w środę nie byłeś!

— We środę? we szrode ja sobie skaleczyłem palec, co mi go doktor oglądał.

— A w czwartek, durniu jeden!

— We czwartek był rozchodesz, to jest nasze święto.

— Ty się nie wyłguj, bo i w piątek nie byłeś.

— W piątek, panie kapral, ja musiałem iść do kąpieli.

— No a w sobotę?

— Uj panie kapral cały tydzień ćwiczenia i ćwiczenia, to by już chociaż w sobotę można było odpościć.

— Telefoner, wybierz sobie co z bufetu, funduję ci.

— Już wybrałem panie sierżant.

— Co takiego?

— Srebrną łyżeczkę.

Żona do Telefonera: Słuchaj Kuba, czemu ty nie masz deputat choć potrzebujesz mieć żonę i chwalić Boga trzy dzieci.

— Głupia jesteś, na co mnie deputat, jak ja mam całą składnicę żywnościową w domu?

— Jaką znów składnicę?

— Ty masz — mleko, ja mam cukier, Izydorek ma migdały, Pikuś — wątrobę i nerki, a Salcia to nie jest cała gęś?

— Cóż, Telefoner, zbadałeś tę drogę?

— Tak jest, panie sierżant.

— Czy będzie można przejść?

— Nie.

— Dlaczego?

— Wisz pan, tam stoi taki duży pies i un warczy.

N A K W A T E R Z E.

Porucznik: Gil, mnie się coś widzi, żeś ty zabobonny?

Ordynans: Z czego pan por. poznaje?

Por: Z rana zostawiłem w pudełku 13 papierosów, a teraz jest tylko 12.

M A R Y N I E.

(Muzyka J. Boczkowskiego).

Gdyśmy wyjeżdżali, grała nam muzyka,
 Prać, ta-da-ra-ta, grzać, ta-da-ra-ta, bolszewika.
 Żegnały nas czule ciotce i matule
 W bielutkie chusteczki ocierały łzy.
 Niech się was moskiewskie nie imają kule
 Marsz, ta-da-ra-ta, marsz, ta-da-ra-ta.
 Raz, dwa, trzy!
 I żegnały nas dziewczęta
 Aż im śmiały się oczęta:

Wesoło na froncie grają ci, do kęta:
 Bac, ta-da-ra-ta, bum-ta-da-ra-ta, gra armata
 Karabiny wtórem popukują chórem,
 Trzaskają granaty, rwetes, huk i świst.
 Moskal ogniem praży, a ja stoję murem
 Bom, ta-da-ra-ta, dziś ta-da-ra-ta
 Dostał list...
 Słodkie słowa liścik niesie:
 Ej, chłopaki, nie dajcie się.

Maryński, Marynie i Manie,
 oj i Manie
 Rzuciły kwiaty nam i śmiech
 Na oczu dziewczęcych wezwanie,
 na wezwanie
 Z nas każdy walczyć chce za trzech.
 I każdy zwycięży lub zginie,
 albo zginie
 Gdy wie, że mu uśmiechy ślą,
 uśmiechy ślą
 Te Mańki, Maryński, Marynie,
 oj Marynie
 Co o swych żołnierzach ciągle śnią.

Maryński, Marynie i Manie
 [oj i Manie
 Serdecznych nam nie szczędzą słów.
 Gdy żołnierz list taki dostanie
 oj dostanie
 To radość weń wstępuje znów.
 Przy liście paczuszka—skarb rzadki
 oj skarb rzadki
 Z uciechy, aż się ściska krtąń
 oj, jak się ściska
 Cukierki, tytoń i gazetki,
 gazetki
 Od Maryń, Marysiek i od Mań...

A gdy powrócimy, znowu dobrze będzie
 Bum ta-da-ra-ta, tram-ta da-ra-ta, radość wszędzie
 I na przywitanie wyjdą Mańki, Manie,
 Maryński, Maryny, śmiejąc się przez łzy.
 Każdy zuch w nagrodę od nich coś dostanie
 Aj, ta-da-ra-ta, oj, ta-da-ra-ta,
 Raz, dwa, trzy...
 Raz, dwa, trzy, a nawet cztery,
 Bo w dziewczętach zapal szczery...

Maryński, Marynie i Manie,
 oj i Manie
 Odwdzięczą godnie się za trud,
 Ach, słodkie to będzie gruchanie
 oj gruchanie
 Bo usta Maryś to jak miód...

Więc cześć wam, żołnierskie pociechy,
 oj, pociechy
 Żołnierz, hej na bacność stań...
 na bacność stań
 Pomogły ci w boju uśmiechy,
 oj, uśmiechy
 Tych Maryń, Marysiek i tych Mań...

J. Tuwim.

MIĘDZY TELEFONISTAMI.

— Te, Gieniek, czemu wczoraj wieczorem nie
 działał nasz telefon?
 — Bo ja ci poszedłem z Józką do lasu na
 spacer...
 — No?
 — No i psia mać nastąpiło krótkie śpięcie.

SIERŻANT NA KWATERZE.

— Pani! a to co mi pani zawsze rano daje,
 czy to je kawa, czy herbata?
 — A bo co?
 — Bo jeżeli to je kawa, to ja proszę o herbatę,
 a jeżeli herbata, to o kawę.

A M Y I D Z I E M Y.

Stan żołnierski, nie żarty,
Miły, jako blask słońca:
Świat na oścież otwarty
Do samego aż końca.
Dach masz z siwych mgieł wkoło,
Wiatr ci w oczy powiewa,
Deszczyk leje wesoło,
My zaś sobie idziewa.

Krzak pochyła się róży,
Jabłko wabi cię w sadzie,
Dym z komina się kurzy,
Nic to naszej gromadzie.
Mijasz wioskę nie jadłszy,
W dalszą drogę pułk zwiewa...
Dziewka tęsknie się patrzy,
My zaś sobie idziewa.

W polu trupa, psia noga,
Niezmierzone ilości;
Tęgo sprąło się wroga,
Porozwlekał swe kości.
Poprzez wraże łby, łona,
Marsz: raz prawa, to lewał...
Pod stopami wróg kona,
My zaś sobie idziewa.

Choć w plecaku już cienko
I w chlebaku przestrono,
Idziem z różną piosenką,
Jak nam w górze sądzono.
Kiep, kto na krok się spóźni,
Kiep, kto snu się spodziewa,
Więc choć w kischkach wciąż luźniej,
My ta sobie idziewa!

FRANCESCO.

W T Y L Z W R O T.

Parł bolszewik w naszą ziemię,
Polak odstępował już...
Trockij nie śpi i nie drzemie,
Runął więc jak grom wśród burz.
Myślał głupie bolszewisko
Że zwycięstwo już jest blisko.
Bo gdy odstępuje wróg.
Trzeba nie żałować nóg!

Zmniejsza się pogoni przedział.
Oto wkrótce krzyknie: hoci...
Głupi Trockij bo nie wiedział
Co to polski duch i moc:
Nie przewąchał ów psia para
Iż go sroga spotka kara...
Za nic zamach, pot i znój:
Naród polski krzyknął: — Stój!

Mkną do boju bez różnicy:
Żołnierz, chłop i pan pod broń:
— Z drogi dzicy bolszewicy!
A bij że ich, tnij i goń!
Zbladł jak ściana herszt ich, Trocki.
Zadrzał ciemny tłum hunciocki.
Syknął hufiec wschodnich żmij
Na nasz okrzyk: — Goń i bij!

Kto żyw na czerń ławą leci:
Szewc, literat, aktor, drwał,
Mkną kobiety, męże, dzieci,
I... bolszewik wieje w dal!
Poszarpany i zdeptany
Jak zwierz krwawe liże rany.
W stronę Moskwy zwrócił pysk:
Masz co chciałeś, licz swój zysk!

OGŁOSZENIA Z ROZSYPAŃEJ SZPALTY.

Młoda osoba mało używana oddaje się na raty.

Wysiadając z wagonu trzeciej klasy, zgubiono rutynowaną ekspedjentkę ze znajomością stenografii.

Okazyjnie do sprzedania dwa łóżka z powodu braku amunicji.

Do wydzierżawienia polowanie na 3 pokoje z kuchnią.

Trzy posady nauczycielskie dla wstydzących się żebrać.

Wytwórnia wódek i likierów ułatwia podróż do Rygi

CO MOWI ŁAZIK?

Powiadam wam, że o mały włos byłbym bohaterem. Jak pragnę zafasować nowe portugalje.

A to było tak.

Idę sobie drogą, nie spieszę się — bo przecie wojna nie zajac, nie ucieknie — raptem spostrzegam bolszewicki patrol. Jadą se wolniuszko, rozglądają się.



Zaraz pomyślałem, że jeśli się rozglądają, to mogamnie zauważyć, si! oro zaś mogą zauważyć, to lepiej przyłucnąć gdzie za drzewem. A że zawsze byłem w gorącej wodzie kąpany, bo jak co postanowie, to nigdy nie zwlekam, więc zaraz hyc do rowu i leżę.

Leżę. Jak do kogo interesu nie mam, to cóż innego robić? Ale te pokraki nie szanują ludzkiego wyczynku — człapią dalej.

Więc westchnąłem do świętego Onufrego, bo matka zawsze mówiła, że jeżeli nie Łukasz, to tylko Onufry mógł być moim ojcem — i czekam, co będzie.

Tu czas leci, jak ten ślimak, tu ptaszki swiergocą, jakby raptem z radości powarjowały, a oni człapią. Ei — myślę sobie — szlagby was trafił. Jeszcze krok zrobicie, a zobaczycie: będzie źle.

Te nic, tylko dalej człapią.

Powiedziałem już, jako interesu do tych psubratów żadnego nie miałem, więc nagle wstaję na równe nogi. Ci do mnie.

Ja — że nie lubię awantur — postanawiam cofnąć się w porządku.

Oni za mną. Pilno im psiakrew? No, zobaczymy, kto mocniejszy niby w nogach? Lecę ja, lecą oni, czyli że ja naprzód, a oni ciągiem z tyłu.

Już tchu w piersiach nie mam, ale cieszę się, bo pewno i tamci nie mają. Czekajcie, psiesyny, ja was zmęcę.

Aż tu słyszę: stoj!

— Co będzie mi taki chmyz rozkazywał? Zaraz. Stój? to ja jeszcze prędzej. Bo jakby to wyglądało, żeby porządny łazik zaraz pierwszego lepszego słuchał.

A oni jeszcze raz: Stoj, towarzyszc.

Niema głupich — odpowiadam. No i lecę dalej.

Ale te bestje coraz bliżej, coraz bliżej... I ciągle: Towariszcz stoj.

— To se same stańcie, a mnie się właśnie zachciało pobiegać trochę.

Nakoniec usłyszałem wyraźnie:

— Towariszcz, gdzie tu plen.

— Plen? A, tak to co innego.

Oddali karabiny, a ja powiadam: idźta, chłopaki, to was zaprowadzę.

I, co powiecie, czterech bolszewików sam jeden wziąłem do niewoli. Byłbym ich więcej nabrał, tylko na nieszczęście akuratnie wszystkiego czterech było. Ale czułem w sobie taką siłę, że mógłbym i dziesięćciu, ba! całą kompanję do dowódcy przyprowadzić.

Kapitan poklepał mnie najpierw po ramieniu, potem pogłaskał po twarzy, a nareszcie, kiedy te sukinsyny całą historję opowiedziały — jak mnie nie grzmotnie w kark, to m się o mało nie przewrócił. Całe szczęście, że jestem taki mocny w nogach.

Ale niech mu tylko głupie humory z głowy wywietrzeją, zaraz przypomnę, żeby mnie przedstawił do awansu, bo inaczej gdzieby była sprawiliwość?

NIETUTEJSZY.

Sierżant pisze raport.

— Te, szeregowiec Guzik, nie wiesz którego to dzisiaj mamy?

Guzik, który przyprowadził jeńca.

— Czterdziestego, panie sierżancie.

— Głupiś, ja się pytam, którego wrześniea?

— A to melduję, że nie wiem, bo ja nie tutaj.

...CHOLERY...

— Cóż, moja Maciejowa, w waszej wsi też byli bolszewicy?

— A juści, byli.

— Dziewcząt nie uprowadzili?

— Dziewczęta do lasu pouciekały, a nam starym, cośmy na miejscu ostali, nic nie zrobili... cholery!

P I O S E N K A O D E L W O W A.

Siedzi sobi legun
I tak rozpamięta:
Ach, gdzież si podzieli
Ty naszy dziewczęta!

Jedna w furdygarni,
Druga w poleciji,
A trzecia w szpitalu
Na reparacyji!

WSYĆKO JEDNO.

Była we wsi Maryś młoda —
 skromna, jak ten fijołeczek
 Gnali za nią wszyscy chłopcy —
 było dużo bójek, sprzeczek...
 Lecz choć tak się o nią tłuką,
 różne Wojtki i Michały,
 na darmo to wszystko było:
 cnotę miała, jak ze skały.
 Ale raz ją dopadł Maciek
 przy stodole, wśród ciemności
 i całować wziął tak mocno,
 że aż zatrzeszczały kości.
 Odtąd Maryś co wieczora
 mknęła chyłkiem ku stodole,
 a zza chmur wyglądał księżyc,
 patrzył, co się dzieje w dole...
 Patrzył, patrzył... Echo niesło
 jakieś szepty i westchnienia...
 — Maciuś... Maciuś... — A mówili,
 że ty serce masz z kamienia,
 Aż zabrała wojna Maćka —
 w burym poszedł hen szynelu...
 Jak te Bartki i Michały,
 jak polazło ich tak wielu...
 Tęskni Maryś za swym lubym,
 ino dusza w niej skowyczy:
 takby chciała choć raz jeden
 znów skosztować tej słodyczy!
 Ale darmo się rozgląda.
 Mija jesień, mija zima...
 umizga się ten i owy.
 tylko nikaj Maćka nima.

Poszła Maryś w te zarośla,
 gdzie zwykł czekać ją jedyny.
 Pusto, cicho, ino w niebie
 miesiąc śmieje się z dziewczyny.
 Nagle... Co to! Ojej! Rety!
 Coś tam się w ciemności rucha.
 Oniemiała, przystanęła
 i ze strachem w sercu słucha...
 — Kto to?... — Dyć jo... — Mów, kto taki?
 — Józek. — Józek? — Byłem w lesie.
 — Wylekłam się. — Czego, czego?
 — Czort myślałam. — Nie bój-że się.
 Ją dziewczynę uspakając
 tak pocziwie, słodko, mięko,
 aż Marysię strach odleciał.
 Potem ją ogarnął ręką...
 Ojej! rychtyk, jak i Maciuś
 i podobnie w ucho szepce:
 — Nic się nie bój, nic się nie bój...
 Ej, chłopaki, te pochlebce.
 — Puscąj... — Co tam!... No, no prośe...
 — Maryś... — Ojej, nie tak zara..
 Płynie miesiąc uśmiechnięty,
 gwiazd rozbiłyś coniemiarą...

* * *

Już na wschodzie luna bije,
 księżyc zaszedł, gwiazdy bledną...
 — Maciuś... Maciuś... — Dyć-em Józek...
 — Wszyćko jedno, wszyćko jedno...

(h.)

BOLSZEWICKI APETYT.

— Walenty, co się stało z maźnicą i smaro-
 widłem do osi?
 — Widzita, panie gospodarzu, jak tu były bol-
 szewiki, wszystek smar z maźnicy wyżarły, bo my-
 ślały, że to szare mydło.

NIE Z TEJ PARAFII.

Po nabożeństwie delegat wydziału propagandy
 zachęca zebranych do zapisywania się na ochotnika.
 Opowiada tak wzruszająco o okrucieństwach bolsze-
 wików, że wszyscy zebrani płaczą.

Jeden chłop tylko stoi obojętny.

— A wy co na to, gospodarzu? — pyta nie-
 wrażliwego sąsiad.

— Mnie ta mała obchodzi. Jo nie z tej pa-
 rafji—odpowiada chłop, wzruszając ramionami.

Z PRZYGÓD ŁAZIKA.

Pociąg rusza—Łazik wpada na peron.
 Żandarm nie chce go wpuścić —
 Łazik ostrym głosem: Czy wiesz, durniu, kto
 jestem?

Żandarm przerażony cofa się.

Łazik z okna: melduję posłusznie, reluton z 3
 armji jestem.



— Co to jest, lzydor? Ty żadne interesy nie robisz?

— Za co ja mam robicz interesów? Ja sobie tu szedze, a te
 kakao, co kupiłem w żyyme, to uno sobie leży i drożeje.



— Wot nieszczęstje! Już był nasz i Czerwony Stok, i Czerwona Wieża, i Czerwona Łąka... A teraz znów będzie Białystok, Białowieża, Białoląka... Całą Ruś te polaki gotowi na nowo pobielić.

DO WARSZAWSKIEGO LALUSIA.

Gdy Polska cierpi męczarnie
i głos dział płynie wymowny —
Kiedyż ty rzucisz kawiarnie,
tchórzcu szanowny?

Za naszych miast cmentarzysko,
za ogrom i klęski wojny,
kiedyż ty chwycisz szablisko,
o, tchórzcu drżący, a strojny?

Kiedyż ty staniesz w ordynku
i będziesz Polski przedmurzem,
o, kiedyż, warszawski synku,
nie będziesz nareszcie tchórzem?

Kiedyż ty będziesz legenda
wsi polskiej, polskiego dworu —
ol kiedyż brać cię nie będą
jeno z poboru?

ZYGMUNT ZALESKI.

W A R S Z A W A

Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.

Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK”



— Ładne jabłka, lecz bieda!
dosięgnąć nie mogę
— Zaczekaj, bolszewiku,
wnet ci dopomogę.

OBRAZIŁ SIĘ.

— Słyszałeś, co on na mnie powiedział?
— Stary osieł.
— Tak. Więc dobrze. Ja mu pokażę starego
osła...
— Daj pokój, głupstwo, nie rób awantur.
— Głupstwo?.. Mam wszystkiego 45 lat. Czter-
dziestopięcioletni mężczyzna nie jest jeszcze stary.

OCHOTNIK.

— Podobno wstępujesz do wojska.
— A tak, wstępuję.
— Rychło wczas! Gdy już inni bolszewików od
Warszawy odparli.
— Trudno, mój drogi, ja nie miałem zdrowia
do wojowania.
— A teraz już masz?
— Teraz... hm... cóż?.. Teraz pozostanie już
tylko trud zbierania laurów.

12-GO WRZEŚNIA 1920 r.

Druk S. Michalskiego Chmielna 60.